

# MARTWE DUSZE



NIKOŁAJ  
GOGOL



# MARTWE DUSZE



NIKOLAJ  
GOGOL

 SAGA  
EGMONT

Nikołaj Gogol

Martwe dusze  
POEMAT

Saga

*Martwe dusze*

Tłumaczenie Zygmunt Wielhorski

Tytuł oryginału *Мёртвые души*

Język oryginału rosyjski

Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów, z których pochodzi.

Copyright © 1842, 2021 SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728110546

1. Wydanie w formie e-booka

Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

[www.sagaegmont.com](http://www.sagaegmont.com)

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

Martwe Dusze.[ <sup>1</sup> ]

## R o z d z i a ł I.

W bramę zajazdu gubernialnego miasta N. N. wjechała dość porządna nie wielka bryczka na resorach, w jakiej jeżdżą kawalerowie, dymisyonowani podpułkownicy, sztabskapitanowie, obywatele, posiadający nie więcej jak sto dusz, — zgoła ludzie średniej zamożności. W bryczce siedział mężczyzna nie bardzo przystojny, ale i nie brzydkiej powierzchowności, nie za nadto otyły, ale i nie zbyt szczupły; właściwie nie stary, ale też i nie za nadto młody. Przybycie jego nie sprawiło w mieście żadnego wrażenia i nie towarzyszyło mu nic szczególnego; tylko dwóch rosyjskich chłopów, stojących w drzwiach szynku położonego naprzeciwko zajazdu, pozwoliło sobie uwag, stósujących się raczej do ekwipażu, niż do siedzącego w nim pana. „Widzisz bo“, rzekł jeden drugiemu, — „oto jakie koło! jak ty myślisz: dojedzie to koło do Moskwy, czy nie dojedzie?“ — „Dojedzie“, odpowiedział drugi. — „A do Kazania to już ja myślę, że nie dojedzie?“ — „Do Kazania nie dojedzie“, odpowiedział drugi. Na tém skończyła się rozmowa.

Kiedy bryczka zbliżała się do zajazdu, spotkała młodego człowieka w białych spodniach, nader wązkich i krótkich, we fraku, mającym pretensye do najnowszej mody, z pod którego wyglądał półkoszulek zapięty szpilką brązową, wyobrażającą pistolet. Młody człowiek odwrócił się, popatrzał na ekwipaż, przytrzymał ręką czapkę, którą wiatr o mało mu co z głowy nie zerwał, i poszedł w swoją stronę.

Gdy bryczka wjechała w dziedziniec, wybiegł na jój spotkanie oberżowy sługa, tak żywy i fertyczny, że trudno

było przypatrzeć się jego twarzy. Wybiegł rażno z serwetą w rękę, sam długi, w długim letnim surducie z długim stanem, wstrząsnął włosami i poprowadził gościa na górę do pokoju, którego Bóg mu przeznaczał. Pokój nie miał żadnej osobnej cechy, bo i zajazd nie odróżniał się od innych zajazdów. Był taki, jak zwyczajnie w gubernialnym mieście, gdzie przejeżdżający za dwa ruble dziennie dostaje spokojną izbę z tarakanami, wyglądającymi ze wszystkich kątów, podobnymi do suszonych śliwek i z drzwiami do sąsiedniego pokoju, zastawionymi zawsze komodą, gdzie mieszka sąsiad bardzo cichy i spokojny, ale nadzwyczaj ciekawy dowiedzieć się wszystkich szczegółów, dotyczących się nowo przybyłego. Zewnętrzny front zajazdu odpowiadał wewnątrz: był on bardzo długi o dwóch piętrach, niższe nie miało tynku i było ciemno-czerwone, od cegły, która była lichego gatunku a poczerniała od zmienną pogodą; wyższe pomalowane tą wieczną żółtą farbą, świetnie dość odbijało; na dole znajdowały się sklepiki z uprzężą, obwarzankami i powrozami. W narożnym sklepiku, albo raczej w oknie zasiadał herbaciarz z samowarem z czerwonej miedzi, z twarzą również czerwoną jak samowar, tak, że z daleka można było pomyśleć, że na oknie stały dwa samowary, gdyby jeden z nich nie miał czarnej jak smoła brody.

Gdy podróżny rozpatrywał się po swoim pokoju, przyniesiono jego rzeczy: najprzód tłomok z białej skóry, już nie bardzo nowy, co pokazywało, że często musiał odbywać podróże. Tłomok wnieśli furman Selifan, niski wzrostem, w kozuchu, i lokaj Piotrek, chłopak trzydziestoletni w szerokim surducie, który, jak widać, z pańskiego grzbietu na jego się grzbiet dostał, z surowym wzrokiem, z wielkimi wargami i nosem. Po tłomoku przyniesiono nie wielką szkatułkę machoniową, której brzegi wykładane były królewską brzozą, prawidło na buty i zawiniętą w niebieski papier kurę pieczoną. Gdy już wszystko było wniesione,

furman Selifan odszedł do stajni opatrzyć konie, a lokaj Piotrek zaczął urządzać się w przedpokoju, małej i ciemnej dziurze, do której wniósł już swój płaszcz a razem z nim woń jakąś sobie właściwą. W tej komórce przystawił do ściany wąziutkie łóżeczko i nakrył je ubitym i cienkim jak naleśnik, można też powiedzieć, że i tłustym jak naleśnik siennikiem, który sobie z wielką biedą wyprosił od gospodarza.

Podczas, kiedy słudzy krzątali się i rzeczy znosili, nasz podróżny poszedł do wspólnej sali. Jakie bywają te sale? przejezdny wie o tym aż nadto dobrze: zawsze te same ściany, pomalowane olejną farbą, pociemniałe u góry od dymu cygar i fajek, wytarte u dołu plecami różnych przejezdnych a więcej jeszcze miejscowych kupców, którzy w dni świąteczne tu się zbierają, po kilku i kilkunastu dla wypicia porcy herbaty; ten sam sufit zakopcony, ten sam pajak zakurzony z wiszącymi szkiełkami, które się chwiały i uderzając jedne o drugie dzwoniły, jak tylko przebiegał służący chwacko niosąc tacę, tak zapełnioną filiżankami, jak brzeg morski ptakami; te same obrazy na ścianach; słowem wszystko to, co zawsze i wszędzie; ta tylko uderzała różnica, że na jednym z obrazów wymalowana była nimfa z takimi ogromnymi piersiami, jakich czytelnik pewnie nigdy nie widział. Podobne jednak kaprysy przyrody zdarzają się i w różnych zagranicznych obrazach, sprowadzonych do nas, nie wiedzieć kiedy i przez kogo, czasem nawet przez naszych magnatów, miłośników sztuk pięknych, zakupujących je we Włoszech za radą swoich faktorów. — Podróżny zdjął czapkę, odwiązał szalik tęczowych kolorów, jakie to żonatym ludziom zwykle żony własną ręką tkają, nauczając oprócz tego, jak się nim trzeba obwiązywać; a kawalerom kto je daje? — tego dobrze nie wiem, bo sam nigdy takich szalików nie nosiłem — i zażądał obiadu. Podczas, gdy mu przynosili potrawy, zawsze te same, w



traktyerniach oberżowych jako to: kapuśniak, mózdek z groszkiem, kiełbasę z kapustą, kure pieczoną z kwaszonym ogórkiem i ciastko francuskie, umyślnie przez kilka tygodni przechowywane, żeby zawsze było na zawołanie gości, wszystko to częścią odgrzane, częścią jeszcze zimne, rozpytywał służącego o różne drobiazgi, kto dawniej utrzymywał zajazd a kto teraz? czy znaczny jest dochód? czy wielki szelma ich gospodarz? na co sługa odpowiedział: „o bardzo wielki łajdak, proszę pana!“ I teraz jeszcze w oświeconej Rosji są ludzie, którzy nie mogą jeść obiadu w traktyerni, żeby nie pomówić lub nie pożartować z posługaczami. Rozmowa jednak i wypytywanie się nie były w tym razie bez celu; badał, kto był gubernatorem, kto prezesem izby skarbowej, kto prokuratorem, — słowem nie opuścił ani jednego ze znaczniejszych urzędników; ale jeszcze drobiazgowiej i że tak powiem z współczuciem rozpytywał się o wszystkich znaczniejszych obywateli; ile który z nich posiada dusz włościańskich, jak daleko mieszka od miasta, jakiego jest charakteru, czy często bywa w mieście; chciał też wiedzieć, czy nie było w gubernii jakich chorób, zaraźliwych gorączek, tyfusu, ospy itp., a wszystko z taką dokładnością, że widać było, że nie sama tylko ciekawość była mu bodźcem do tego. Wszystkie poruszenia podróznego okazywały pewność siebie, nos ucierał nadzwyczaj głośno. Trudno wyrazić, jak się brał do tego, ale nos jego trąbił jak trąba.

Ta niewinna na pozór zaleta powiększała jednak oznaki uszanowania ze strony hotelowego sługi, który za każdym odgłosem wstrząsał włosami, prostował się i nachyliwszy głowę pytał się: czy jeszcze czego nie potrzeba? Po obiedzie podróźny wypił filiżankę czarnej kawy i siadł na kanapie, podłożywszy za plecy poduszkę, nabitą, jak zwykle w rosyjskich zajazdach, zamiast elastycznym włosem, jakimiś kamyczkami lub też odłamkami cegły. Powoli

zaczął poziewać, zaczęłam kazał się odprowadzić do swojego numeru i tam przespał się smaczno dwie godziny. Gdy odpoczął po takim znużeniu, na prośbę hotelowego sługi napisał na świsteczku papieru swoją rangę, imię i nazwisko, dla zameldowania go podług zwyczaju w policyi. Schodząc na dół, numerowy przeczytał te wyrazy, napisane na papierku: „Radzca kolegiálny Paweł Iwanowicz Cziczików, obywatel podróżujący w własnych interesach.“ Podczas gdy sługa sylabizował jeszcze karteczkę, sam Paweł Iwanowicz Cziczików poszedł obejrzyć miasto i o ile się zdaje, dosyć mu się ono podobało, nie znalazł bowiem, żeby w czémkolwiek ustępowało innym miastom gubernialnym: żółta farba murowanych domów, a skromnie szara drewnianych, biła w oczy. Domy były o jedném, dwóch lub półtora piętrach i naturalnie z facyatkami bardzo pięknymi podług zdania panów architektów gubernialnych. Miejscami domy kończyły się prawie zupełnie wśród ulicy, niemal tak szerokiej, jak pole, i ciągnęły się nieskończone parkany; miejscami znowu się je napotykało i tam też zaraz większy panował ruch i ożywienie. Można było widzieć zmyte deszczem szyldy sklepików z obwarzankami albo butami, lub też wymalowane niebieskie spodnie z podpisem jakiegoś Arszawskiego, krawca, to znowu sklepik z czapkami i kaszkietami pod firmą: Cudzoziemiec, Wasili Feodorow; gdzieindziej wymalowany bilard i dwóch graczy we frakach, w jakie się stroją zwykle goście, pojawiający się w piątym akcie na prowincjonalnej scenie. Gracze byli przedstawieni w chwili, gdy mierzą kijami w bile, z rękami w tył wykreconymi, z krzywymi nogami, jak gdyby tylko co zrobiły entresza w powietrzu. Pod tém wszystkiém było napisane: I oto taktyernia! Gdzie niegdzie znowu prosto na ulicy stały stoły z orzechami, mydłem, piernikami, które także do mydła były podobne. Tam znowu widziano karczmę, mającą za szyld tłustą rybę z wetkniętym w nią

widelcem. Najczęściej napotykało się wypłowiałe rządowe dwógłowne orły, które dziś już zastępuje lakoniczny napis: szynk. Bruk wszędzie był popsuty. Podróżny zajrzał i do spacerowego ogrodu, w którym rosły cieniutkie nędzne drzewka, podparte u dołu trzema słupkami w kształcie piramidki, bardzo ładnie zieloną olejną farbą pomalowanymi. Zresztą chociaż te drzewka nie były wyższe od trzciny, mówiono jednak o nich w gazetach przy opisanii iluminacji, że „miasto nasze jest teraz upiększone, staraniem cywilnego gubernatora, ogrodem spacerowym, ocienionym rozłożystymi drzewami, pod którymi można używać orzeźwiającego chłodu podczas dziennej spieki — i że miło przytém patrzeć, jak serca obywateli drgały od zbytniego napływu wdzięczności i strugi łez ciekły na znak przywiązania do naczelnika miasta.“ Wypytał się policyanta, którądy najbliżej do soboru, do gubernatora, do biur rządowych, poszedł on ku rzece, płynącej przez środek miasta; po drodze zerwał afisz ze słupa i schował go do kieszeni, żeby swobodniej w domu przeczytać, wpatrzył się bacznie w przechodzącą jakąś nie brzydką panią, za którą szedł chłopak w liberyi wojskowej z małym zawiniątkiem w ręku, nareszcie obejrzawszy się pilnie na wszystkie strony, żeby spamiętać dobrze położenie miejsca, wrócił do domu prosto do swego numeru, lekko wspierając się na ramieniu hotelowego sługi. Napiwszy się herbaty, usiadł przed stołem, kazał sobie podać świecę, wyciągnął afisz z kieszeni, podniósł go ku świecy i przymrużywszy trochę prawe oko zaczął czytać. Zresztą w afiszu nic osobliwego nie znalazł, grano dramat p. Kotzebue, w którym Rollę przedstawiał p. Poplewin, a Korę panna Ziablowa, inne osoby mniej jeszcze zwracały uwagę, jednakże on je przeczytał i dotarł do ceny miejsc, dowiedział się nawet, że afisz był drukowany w drukarni rządu gubernialnego; nareszcie obrócił go na drugą stronę, żeby się przekonać,

czy i tam nie ma jeszcze czego. Nic nie znalazłszy, potarł sobie oczy, zwinął go starannie i włożył do skrzyneczki, do której miał zwyczaj składać to, co chciał zachować. Dzień zakończył się porcją zimnej cielęciny, butelką piwa i mocnym snem.

Następny dzień poświęcił odwiedzinom u wyższych urzędników. Złożył swoje uszanowanie gubernatorowi, który, jak się wydało Cziczikowi, nie był ani tłusty ani chudy i miał na szyi order Śtój Anny. Zmówiło się jakoś, że już przedstawiony do gwiazdy; zresztą był to pocziwiec; czasami nawet sam haftował na tiulu. Potem był u wicegubernatora, dalej u prokuratora, u policmajstra, u dzierżawcy propinacyi, u naczelnika rządowych fabryk.. żal, że trochę za trudno przypomnieć sobie wszystkich możliwych tego miasta; dość na tém, że powiemy, że nasz podróżny okazał niezmordowaną czynność w składaniu wizyt; on nawet był złożyć swoje uszanowanie inspektorowi rady lekarskiej i miejskiemu budowniczemu — i jeszcze potem długo siedział w bryce i przemyśliwał, komu by to jeszcze złożyć wizytę, ale już nie było więcej w mieście urzędników. W rozmowie z tymi potentatami bardzo zręcznie umiał podchlebić każdemu. Gubernatorowi powiedział, jakby w nawiasie, że do jego gubernii wjeżdża się jak do rajy, że droga wszędzie jak aksamitna, i że rządy, które naznaczają mądrych urzędników, warte są pochwały; policmajstrowi oświadczył coś bardzo przyjemnego o porządku w mieście; a w rozmowie z wice-gubernatorem i prezesem izby skarbowej, parę razy nazwał ich, jakby przez omyłkę, jaśnie wielmożnymi, chociaż byli tylko radzcami stanu i tytuł ten im się nie należał, co bardzo im się podobało. Wynikiem tego wszystkiego było, że gubernator zaprosił go tegoż dnia na wieczór, drudzy zaś urzędnicy, to na obiad, to na preferansa, to na filiżankę herbaty.



O sobie mówił mało, albo tylko ogólnikami, z widocznym umiarkowaniem, a gdy do tego przyszło, rozmowa przybierała ton książkowy: że on tylko nikczemny robaczek tego świata, że nie wart żeby się nim zajmowano, że dużo już w swoim życiu doświadczył, że podczas służby wiele ucierpiał za prawdę, że miał silnych nieprzyjaciół, którzy na życie jego nawet nastawali, że teraz pragnie wypoczynku, i że szuka miejsca, aby w niem spokojnie osiąść, a przyjechawszy do tego miasta uważał sobie za obowiązek złożyć uszanowanie jego najdostojniejszym mieszkańcom. Ot i wszystko, czego się dowiedzieli o tym nowym przybyszu, który nie omieszkał ukazać się na wieczorku u gubernatora. Przygotowanie do tego wieczorku zajęło mu więcej niż dwie godziny. Przespawszy się krótko po obiedzie, kazał sobie podać wszystko, co potrzeba do umywania, nadzwyczaj długo tarł sobie oba policzki mydłem, podpierając je z wewnątrz językiem, potem wzięwszy z rąk hotelowego sługi ręcznik, wytarł nim na wszystkie strony swoją pełną twarz, zacząwszy od uszów i odchrząknął silnie dwa razy w samą twarz służącego; następnie włożył przed lustrem półkoszulek, wyrwał wystające z nosa dwa włosy i w końcu włożył frak koloru borówkowego w centki. Tak wystroiwszy się, pojechał swoim własnym ekwipażem, nieskończenie szerokimi ulicami, ledwie gdzie niegdzie oświeconymi bladem światłem z okien. Z resztą pałac gubernatorski był oświecony, jakby na bal jaki, dwóch żandarmów stało przed gankiem, karety z latarniami, krzyki kuczerów i forysiów, jednym słowem nic a nic nie brakło. Wszedłszy do sali, Cziczików olśniony światłem lamp, świec i strojem pań, musiał na chwilę przymrużyć oczy, bo blask był ogromny. Światło zalewało wszystko. Czarne fraki przesuwają się to pojedynczo, to gromadkami, tu i tam, jak muchy po głowie cukru podczas gorących dni letnich, gdy stara klucznica

rabie go przed otwartym oknem: dzieci siedzą w około i śledzą poruszenia jej ręki podnoszącej młotek, a muchy całymi stadami wlatują śmiało, jakby to była ich własność i korzystając z krótkiego wzroku staruszki — tudzież z słońca, które oczy jej razi, obsiadają ponętne kawałki albo pojedynczo albo też całymi stadami. Nasycone strawą ciepłego lata, które na każdym kroku zastawia im smaczne pokarmy, wleciały one nie w celu, żeby jeść, ale tylko, żeby siebie pokazać, przejść się tu i napowrót po kupie cukru, potrzeć jedna o drugą przednie albo tylne łapki, pogłodzić niemi skrzydełka, lub wyciągnawszy obie przednie nóżki, podrapać sobie szyjkę nad łepkiem, pokręcić się i ulecieć, aby znowu wrócić i znowu się przedstawić.

Cziczików jeszcze nie zdołał się rozpatrzeć, gdy porwał go pod rękę gubernator i przedstawił pani gubernatorowej. I tu Cziczików umiał się znaleźć, powiedział jej komplement jaki przystało na człowieka średnich lat, którego ranga nie była zbyt wysoka, ale też i nie bardzo niska. Gdy pary tańczących rozepchnęły wszystkich ku ścianom, Cziczikow założył w tył ręce i tak parę minut z uwagą się tańcom przypatrywał. Wiele dam ubranych było bardzo pięknie i modnie, inne — jak P. Bóg dopuścił w gubernialnym mieście. Mężczyźni tak tu jak i wszędzie dzielili się na dwa rodzaje: jedni cieniutcy, ciągle się koło dam uwijali, niektórzy celowali ułożeniem, tak, że trudnoby ich było odróżnić od kawalerów petersburskich: mieli także bardzo artystycznie i sztucznie zaczesane faworyty, albo pięknie i czysto wygolone twarze, i od niechcienia przysiadali się do dam, rozmawiali także po francusku i nawet czasami do śmiechu pobudzali jak w Petersburgu; drugi gatunek mężczyzn stanowili tłuściochy, albo tacy jak Cziczików, to jest nie zanadto tłuści, jednakże i nie chudzi. Ci całkiem przeciwnie, krzywili się i stronili od dam i tylko się oglądali na wszystkie strony, czy służący nie rozstawił gdzie

zielonego stolika. Twarze ich były pełne i okrągłe, znajdowały się na nich nawet gdzieniegdzie i brodawki; niektórzy ospowaci, nie mieli włosów rozczochranych ani fryzowanych, ani nawet à la diable m'emporte, jak mówią Francuzi; ale nosili je albo krótko ostrzyżone, albo gładziutko przyczesane, rysy twarzy mieli więcéj zaokrąglone i silne. To byli najszanowniejsi urzędnicy miejscowi. Niestety! tłuściochy lepiej umieją na tym świecie kierować swojemi interesami niż chudzi. Chudzi służą zwykle do osobnych poruczeń, albo pracują jako nadliczbowi i kręcą się tu i tam; ich byt jakoś zanadto lekki, nadpowietrzny, nie wzbudza zaufania. Tłuści nigdy nie zajmą miejsc niepewnych, i jeżeli gdzie zasiądą, to silnie z pewnością siebie, tak że prędzój miejsce ugnie się i zatrzeszczy, niżliby się oni ruszyli. Zewnętrznego blasku oni nie lubią; frak ich nie tak zgrabnie uszyty jak u chudych, ale za to w szkatule błogosławieństwo Boże. U cienkich nie ma ani jednej duszy włościańskiej, któraby nie była zastawioną w banku; u tłustego obejrzyj się tylko — a oto i dom znajdzie się na przedmieściu, kupiony na imię żony, potém w mieście drugi dom, potém pod miastem i wioseczka, daléj i wielka włość ze wszystkiemi przynależnościami. Nakoniec tłusty wysłużywszy się Bogu i cesarzowi, uskarbiwszy sobie ogólny szacunek, porzuca służbę, przenosi się na wieś i zostaje obywatelem, sławnym rosyjskim panem, gościnnym, żyje sobie — i dobrze żyje. A po nim znowu cieniutcy spadkobiercy tracą rosyjskim zwyczajem na wyścigi ojcowski dostatek.

Takie właśnie myśli zajmowały Cziczikowa, gdy rozpatrywał się w towarzystwie i skłoniły go do przyłączenia się do tłustych, między którymi znalazł prawie wszystkie znajome sobie twarze: prokuratora o gęstych czarnych brwiach i często mrugającym lewém oku, tak jak gdyby mówił: „pójdźmy, bracie, do drugiego pokoju,

powiem ci coś!“ człowieka zresztą statecznego i mało mównego; pocztmajstra, niską figurkę, ale dowcipnisią i filozofa; prezesa Izby skarbowej, bardzo rozsądnego i miłego urzędnika; wszyscy oni witali się z Cziczikowem jak ze starym znajomym, a on kłaniał im się, wprawdzie trochę niezręcznie, ale bardzo miło. Niebawem zapoznał się z bardzo grzecznym i uczciwym obywatelem Maniłowem i drugim szorstkim na pierwszy rzut oka Sobakiewiczem, który zaraz udeptał go w nogę i powiedział: „przepraszam pana“; zaraz mu też wsunęli w rękę kartę do wista, którą on, ukłoniwszy się uprzejmie, przyjął. Zasiedli do zielonego stolika i nie wstali aż do kolacyi. Przy grze toczyli urywaną rozmowę, jak zwykle, gdy ludzie pracują na seryo. Pocztmajster, choć bardzo gadatliwy, gdy wziął karty do ręki, nadał swojej twarzy wyraz myślący, wierzchnią wargę spuścił na spodnią i zachował się tak podczas całej gry. Po skończonej grze sprzeczała się dość żywo, jak to zawsze bywa, i nasz nowy gość sprzeczał się, ale z takim talentem, że wszyscy zauważali, że sprzeczał się, ale sprzeczał się grzecznie i przyjemnie. On nigdy nie powiedział: „pan zadał“, ale „pan raczył zadać a ja miałem honor zabić pańską dwójkę“ i tém podobnie. Ażeby tém łatwiej pogodzić przeciwników, podawał im często swoją srebrną emaliowaną tabakierkę, w której na spodzie były dwa zeschnięte kwiateczki fijołków dla nadania tabace przyjemnego zapachu. Szczególną uwagę nasz podróżny zwrócił na obywateli Maniłowa i Sobakiewicza, o których mówiliśmy wyżej. On zaraz się o nich dowiadywał, odprowadziwszy na bok prezesa i pocztmajstra. Kilka zadanych pytań pokazało, że Cziczików nietylko ciekawy, ale i gruntowny człowiek, gdyż najprzód rozpytywał się, ile u każdego z nich jest dusz, w jakim stanie ich interesa, a później dopiero o ich imiona i nazwiska. Łatwo przyszło naszemu gościowi ująć ich sobie. Obywatel Maniłow, jeszcze nie stary człowiek, mający oczy



słodkie jak cukier, które zawsze, śmiejąc się, przymrużał, był nim, oczarowany. Bardzo długo ścisnął rękę Cziczikowa i prosił, aby go zaszczycił swojemi odwiedzinami na wsi, do której, jak mówił, nie było dalej, jak piętnaście wiorst od miejskiej rogatki; na co Cziczików odpowiedział, że nietylko poczyta sobie to za wielkie szczęście, ale nawet za najświętszy obowiązek. Sobakiewicz lakonicznie powiedział: „proszę i do siebie“, szargnąwszy nogą, obutą w taki olbrzymi but, iż można było pomyśleć, iż nie podobna znaleźć odpowiedniej nogi, szczególnie w obecnych czasach, w których i w Rosyi nawet zaczynają wypleniać się wielkoludy.

Na drugi dzień Cziczikow poszedł na obiad i wieczór do policmajstra, tam od trzeciej po obiedzie grali w wista aż do drugiej po północy. U policmajstra zapoznał się z obywatelem Nozdrewem, chwackim, trzydziestoletnim chłopakiem, który po kilka słowach zaczął mu mówić: ty. Z policmajstrem i prokuratorem Nozdrew był także na takiej samej stopie i bardzo po przyjacielsku; ale jak zasiedli do grubszej gry, prokurator i policmajster nadzwyczajnie uważnie przeglądali jego lewy i bacznie śledzili każdą zadaną przez niego kartę.

Następnego dnia Cziczikow był na wieczorze u prezesa Izby skarbowej, który gości swych przyjmował w zaszarganym szlafroku, chociaż w ich liczbie znajdowały się dwie damy. Następnie był na wieczorze u wicegubernatora, na wielkim obiedzie u propinatora, na mniejszym obiedzie u prokuratora, a obiad ten sprostałby i wielkiemu, na podwieczorku u głowy (burmistrza), a ten podwieczorek tyle był wart, co obiad. I stało się, że nie miał ani godziny swobodnej i tylko na spoczynek powracał do oberży. Podróżny umiał się znaleźć wszędzie i pozyskał miano doświadczonego człowieka. O czémkolwiek prowadzono rozmowę, on umiał ją podtrzymać: toczyła się rozmowa o

hodowli koni, on mówił o hodowli koni; mówiono o psach, i on mówił o psach; rozprawiano o śledztwie kryminalnym, i tu pokazał, że prawo nie jest mu obce; i w bilard umiał także grać dobrze; słowem znał się na wszystkim i na czémś więcej i był bardzo porządnym człowiekiem. Urzędnicy byli szczególnie radzi nowemu gościowi. Gubernator wyrzekł o nim: że to stateczny człowiek; prokurator: że dzielny człowiek; pułkownik żandarmeryi: że uczony człowiek; prezes Izby skarbowej: że szanowny człowiek; policmajster: że miły człowiek; żona policmajstra: że najmiłszy i najgrzeczniejszy człowiek. Nawet sam Sobakiewicz, tak milczący, wróciwszy do domu na wieś dość późno i położywszy się do łóżka, powiedział żonie: „Wiesz, duszko, poznałem się u gubernatora z radcą kolegialnym Pawłem Iwanowiczem Cziczikowem, to bardzo przyjemny człowiek“, na co żona odpowiedziała,: „hm!“ i kopnęła go nogą.

Takie było o nowym gościu pochlebne zdanie całego miasta, dopóki pewna okoliczność, a jak w prowincjonalnych miastach nazywają „pasaż“, o którym czytelnik nie długo się dowie, nie wzburzył wszystkich umysłów.

## R o z d z i a ł II.

Już więcej tygodnia podróżny mieszkał w oberży i czas swój zawsze na obiadach i wieczorach, jak to mówią, bardzo przyjemnie przepędzał. W końcu postanowił zwrócić się na wieś i odwiedzić obywateli Maniłowa i Sobakiewicza, podług przyrzeczenia. Może pobudziła go do tego jakaś osobna jeszcze przyczyna, ważniejsza, bliższa jego serca... Ale o tém wszystkiem czytelnik dowie się stopniowo, w swoim czasie, jeżeli będzie miał cierpliwość przeczytać niniejszą powieść, bardzo długą, rozszerzającą się ciągle aż do końca, który — uwieńczy dzieło. Furman Selifan dostał z rana rozkaz założyć konie do znajomój nam już bryczki, a Piotrek miał zostać w domu, aby pilnować mieszkania i tłomoka.

Nie będzie zbyt ciekawym zapoznać się bliżej z tymi dwoma poddanymi naszego bohatera. Chociaż osobistości ich nie są tak wyraziste i stoją, jak to mówią, na drugim albo nawet na trzecim planie, chociaż nie są głównymi sprężynami opowiadania, chociaż oni zaledwie drobny mają udział w głównej intrydze, że jednak autor lubi niezmiernie dokładność, i chociaż sam jest Rosyaninem, chce być akuracym jak Niemiec, musi o nich mówić. Zresztą nie wiele to zajmie czasu i miejsca, bo nie wiele trzeba dodać do tego, co już było powiedziane, t. j. że Piotrek chodził w za szerokim tabaczkowym surducie, należącym niegdyś do swego pana, i miał, jak wszyscy mniej więcej ludzie jego stanu, szeroki nos i usta. Charakter posiadał prędkiej milczący, niż gadatliwy, miał nawet szlachetne dążności ku cywilizacyi, t. j. do czytania książek, ale treść ich była mu

obojętną: czy to były przygody jakiego bohatera, czy dykcjonarz, on wszystko czytał z jednakową uwagą; jeżeliby jemu podać chemię, onby i chemii nie odrzucił. Jemu podobało się nie to, co on czyta, ale raczej samo czytanie, bo oto, z liter zawsze tworzy się jakieś słowo, które czasem sam djabeł wie, co znaczy. Czytanie odbywało się zwykle w leżącym położeniu, w przedpokoju, na łóżku. Oprócz namiętności do czytania, miał jeszcze dwa nawyki, które stanowią dwa charakterystyczne rysy: spać nie rozbierając się, tak jak był, w surducie, i nosić wszędzie ze sobą jakieś sobie właściwe powietrze, jakąś woń, która go nigdy nie opuszczała. Cziczików, który był czasem bardzo drażliwy, wciągnąwszy w nos owego powietrza, zmarszczył się nieraz, a kiwnąwszy głową, mówił: „Już ja nie wiem, djabli cię tam wiedzą, pocisz się, czy co? Poszedłbyś do bani wykąpać się.“ Na to Piotrek nigdy nie odpowiadał, zaraz zajął się jaką robotą: albo brał szczotkę i czyścił pański frak, albo też cokolwiek sprzątał. — O czym on wtedy myślał? Może być mówił on do siebie: „Aleś i ty paradny; i tobie się nie znudziło czterdziesty raz jedno i to samo powtarzać...“ Bóg tylko jeden może wiedzieć, co myśli służący poddany wtenczas, kiedy jego pan go łaje. Na teraz nie mam nic więcej do powiedzenia o Piotрку.

Furman Selifan był zupełnie innym człowiekiem. Ale autor jest zawstydzony zajmować tak długo czytelnika ludźmi niższej klasy, znając z doświadczenia, jak on niechętnie zabierał znajomości z niższymi od siebie. Już takim jest ruski człowiek: wszystkich sił używa, żeby poznać się z takim, który posiada rangę wyższą choć o jeden stopień; a czapkową znajomość z hrabią lub księciem o wiele więcej ceni od najściślejszej przyjaźni. Autor lęka się nawet o swojego bohatera, który jest tylko radcą kolegiąlnym[ <sup>2</sup> ]. Radzcy dworu może zaprzyjaźnia się z



nim, ale ci, którzy podrośli już do generalskiej rangi, — ci, Bóg wie, może rzucą tylko pogardliwym wzrokiem, jak na wszystko to, co się pod nogami ich uwija, albo co jeszcze dotkliwiej, przejdą, z zabijającą dla autora obojętnością. Ale choć przykre jedno i drugie, trzeba wrócić do naszego bohatera.

Wydawszy rozkazy jeszcze wieczorem i obudziwszy się wcześniej, wymywszy się i wytarłszy mokrą gąbką od stóp do głów, co się robiło tylko w niedzielę — a tego dnia zdarzyła się właśnie niedziela — ogoliwszy się tak, że policzki były gładkie jak atlas, ubrawszy się we frak koloru borówkowego w centki, nałożywszy na wierzch płaszcz niedźwiedziami podbity, zeszedł ze schodów, podpierany to z tego, to z drugiego boku przez hotelowego służę, i siadł w bryczkę. Z łoskotem wyjechała bryczka z pod bramy wjezdnej. Przechodzący pop zdjęął kapelusz, kilku chłopaków w brudnych koszulach wyciągnęli ręce, wołając: „Panie, daj jałmużnę sierotce.“ Furman spostrzegłszy, że jeden z nich miał wielką ochotę stawać z tyłu na bryczkę, ściągnął go knutem, i bryczka potoczyła się, skacząc po kamieniach. Przyjemnie było ujrzeć niedaleko przegowaty szlaban, dający znać, że bruk, tak jak i wszystkie dolegliwości na tym świecie, będzie miał swój koniec, i jeszcze kilka razy uderzywszy się głową w budę, Cziczikow na koniec pojechał równą drogą. Ledwie wydostali się z miasta, zaraz za miastem tak, jak to u nas, było dziko po obu stronach drogi: widziałeś kretowiny, młodą jedlinę, karłowate sosny, jałowiec i tym podobne dziwactwa. Napotkali i wieś, pod sznur zbudowaną, kilku chłopów, jak zwyczajnie, próżnowało i gapiło się, siedząc przed domami na ławeczkach. Baby tłuste, z przewiązanymi piersiami, patrzyły z górnych okien, a z dolnych wyglądało ciele, albo świnia swój ślepy ryj wytykała. Słowem wszystko, co widzieli, było bardzo zwyczajne. Przejechali wiorst

piętnaście i Cziczikow pomyślał sobie, że tu, jak mówił Maniłow, powinna była być jego wioska, ale i szesnastą wiorstę minęli, a wioski jak nie było tak nie było, i pewnieby do niej nie trafili, gdyby nie napotkali dwóch chłopów. Na zapytanie: czy daleko ztąd Zamaniłowka? chłopci zdjęli czapki, a jeden z nich, mędrszy, z brodą jak klin, odpowiedział:

— Maniłowka może? a nie Zamaniłowka?

— Tak, tak Maniłowka!

— Maniłowka! a to jak przejedziesz jeszcze jedną wiorstę, tak ot, to jest tak prosto na prawo.

— Na prawo? odezwał się furman.

— Na prawo, rzekł chłop. — To ci będzie droga do Maniłowki; a Zamaniłowki tu żadnej nie ma. Ona tak się nazywa, to jest, jej nazwanie Maniłowka; a Zamaniłowki tu wcale nie ma. Tam prosto na górze zobaczysz dom murowany, o dwóch piętrach, pański dom, w którym, to jest, mieszka sam pan. Oto ci będzie i Maniłowka, a Zamaniłowki tu zupełnie żadnej nie ma i nigdy nie było.

Pojechali dalej odszukiwać Maniłowki. Przejechali dwie wiorsty, napotkali boczną dróżynę; przejechali i trzecią i czwartą wiorstę, a murowanego domu nigdzie nie było widać. Wtedy Cziczikow przypomniał sobie, że jeżeli przyjaciele zapraszają do siebie na wieś i powiadają, że do niej tylko piętnaście wiorst, to pewnie będzie ich trzydzieści.

Wioska Maniłowka nie wiele mogła zająć swoim położeniem. Dom właściciela stał na górze, otwarty na wszystkie wiatry, jakimby się tylko wiać podobało; spadzistość góry, na której się wznosił, była pokryta strzyżoną murawą. Na niej rozrzucono po angielsku dwa klomby berberysu i żółtej akacyi; pięć czy sześć kępek brzoź wznosiło gdzie niegdzie swoje chude wierzchołki. Pod dwoma z nich była altanka z zielonym płaskim daszkiem,

niebieskimi kolumnami i napisem: ś w i ą t y n i a s a m o t n e g o r o z m y ś l a n i a; niżej sadzawka, pokryta zieloną pleśnią, co zresztą nie jest rzeczą nadzwyczajną w angielskich ogrodach rosyjskich obywateli. U stóp pagórka ciemniały wzdłuż i wpoprzek szare drewniane izdebki, które bohater nasz, nie wiadomo dla jakiej przyczyny, z największym pospiechem zaczął liczyć i narachował ich aż do dwóchset. Nigdzie około nich nie było widać jakiegokolwiek zieloności; wszędzie wyglądało jedno tylko drzewo. Widok urozmaicały dwie baby, które artystycznie podgiąwszy spódnice i poobtykawszy je w pasie, brnęły po kolana w sadzawce, wlokąc za sobą małą sieć, w której szamotały się dwa raki i błyszczała jedna biedna płoteczka; baby, jak widać, nie musiały żyć z sobą w zgodzie, bo ciągle się kłóciły i lżyły. Dalej na boku ciemniał smutnym ciemno zielonym kolorem las sosnowy. Nawet powietrze widziało się do wszystkiego zastosowane: dzień był i nie jasny, i nie bardzo pochmurny, ale jakiegoś blado szarego koloru, takiego, jak stare mundury garnizonowych żołnierzy. Dla dopełnienia krajobrazu znalazł się i kogut zwiastun zmiennój pogody, który nie zważając na to, że głowę miał do mózgu podziurawioną dziubami drugich kogutów za swoje zalety, piał wrzaskliwie i trzepał nawet skrzydłami, chociaż pióra miał powyrywane jak u stariej słomianki. Podjeżdżając pode dwor, Cziczikow spostrzegł samego gospodarza stojącego w zielonym surducie, u czoła miał rękę zastępującą daszek, aby łatwiej rozpoznać dążącą ku dworowi bryczkę i w miarę tego jak furmanka zbliżała się do ganku, oczy jego rozweseliły się i uśmiech zawitał na twarzy.

— Paweł Iwanowicz! zawołał on nakoniec, gdy Cziczikow wyłaził z bryczki. — Przecież pan sobie o nas przypomniał!

Obaj przyjaciele serdecznie się uściskali, i Maniłow poprowadził swego gościa do pokoju. Chociaż krótka chwila

wystarczyła, aby przejść przez sień, przedpokój i salę jadalną, jednak spróbujemy, czy nie zdążymy jak niebądź z niej skorzystać i powiedzieć co o gospodarzu. Ale w tym punkcie autor musi się przyznać, że zadanie trochę za trudne. O wiele łatwiej odrysować charaktery wielkich rozmiarów: tam tylko rzucaj pełną ręką kolory na płótno; czarne pełne oczy, zwiśnięte brwi, poorane zmarszczkami czoło, zarzucony na ramię czarny albo czerwony jak ogień płaszcz — i portret gotowy; ale u tych wszystkich panów, których tak wiele na świecie, którzy z powierzchowności tak podobni do siebie, jak im się dobrze przyjrzeć, jest tak wielka różnica, że bardzo trudno wizerunek ich uchwycić.

Trzeba dobrze natężyć uwagę, nim zmusisz, że na płótno wystąpią wszystkie odcienia prawie niepochwytne ich rysów, i w ogólności, trzeba głęboko badać, nawet doświadczonemu spostrzegaczowi. Jeden tylko Pan Bóg wiedział, jaki był charakter Maniłowa. Istnieje pewien rodzaj ludzi, znanych pod nazwą: ludzi tak sobie, ni to, ni owo. Może być, że do nich trzeba i Maniłowa zaliczyć. Postawę on miał piękną; rysy twarzy przyjemne, ale ta przyjemność zanadto była ocukrowana; w ułożeniu miał coś takiego, jakby szukał dla siebie pobłażania. Uśmiech jego nęcił, był jasny blondyn i miał niebieskie oczy. W pierwszej chwili, gdy się z nim rozmawiało, nie mogłeś nie powiedzieć: „Jaki przyjemny i dobry człowiek!” W następującej minucie, już nic nie mówił, a w trzeciej minucie, powiedziałaś sobie: „Diabli go tam wiedzą!” i odsunąłeś się od niego jak najdalej; jeżeliś nie odszedł, poczułeś śmiertelne nudy. Od niego nie usłyszysz żadnego prędkiego ani gniewnego słowa, jakie możesz usłyszeć od każdego, jeżeli zaczepisz go w jakiej drażliwej kwestyi. Strona drażliwa znajduje się u każdego.

Jeden zapala się do hartów; drugiemu zdaje się, że jest znawcą muzyki, i że szczególnie czuje głębokie jój tony;